

Pieć

OPOWIADAŃ

Natalia Jankowska * Karolina Byszewska * Kinga Kaczyńska
Stach Szwejkowski * Julia Magdziak

Pięć

OPOWIADAŃ

Posłowie
Artur Zióntek

Laboratorium Literatury
IKRiBL
Siedlce 2023

Opracowanie:
Ewa Borkowska

Projekt okładki i skład:
Artur Ziótek

ISBN 978-63-66597-61-7

Wydawca:
Instytut Kultury Regionalnej i Badań Literackich
im. Franciszka Karpińskiego. Stowarzyszenie
Siedlce, ul. M. Asłanowicza 2, lok. 2
08-110 Siedlce

Spis treści

NATALIA JANKOWSKA

Świąteczny pociąg – 7

KAROLINA BYSZEWSKA

Oby nie było gorzej – 23

KINGA KACZYŃSKA

Nie mów mamie – 37

STACH SZWEJKOWSKI

Listopadowa przedwieczerek – 51

JULIA MAGDZIAK

Niech będzie, kim chce, ale... – 59

ARTUR ZIONTEK

Posłowie – 75

NATALIA JANKOWSKA

Świą-
teczny
pociąg

22 XII 2025 r.,
godzina 19.30,
gdzieś w Polsce

Brnąc przez zaśnieżone, brudne, ulice tego cuchnącego miasta, patrzyłem na ludzi. Zdawali się być niewolnikami miejsca, tą lepszą kategorią przemierzającą świat z uśmiechem na ustach, pragnącą za wszelką cenę przeżyć jak najlepiej tych kilka żenujących dni grudnia. Zabiegane matki gnające z wielkimi pakunkami dla swoich dzieci, martwiące się czy starczy im pomysłów by zadowolić rozpieszczone gadziny. Staruszki polujące na promocje w Biedronkach. A w tym wszystkim ja – brudny włóczęga, posiadacz paczki kradzionych paczków z choinkową posypką.

Mój los był najlichszy, a to ja osiągałem największy spokój. Mogłem się delektować ciszą, a mimo to wybrałem dłuższą drogę by popatrzeć na tych obłąkanych idiotów. Centrum żyło, szalało niczym migoczące lampeczki na trupach drzewek zawleczonych przez wszystkich obłudników do domu. Jeszcze cztery przecznice i będę na miejscu. Przy sklepie rybnym zobaczy-

łem biedne, ściśnięte karpie, co przywiodło na myśl obrazy mojego rodzinnego domu, pulchna kobieta w fartuchu, wymęczona, a nawet zmordowana, z niewymuszonym uśmiechem na ustach smażąca karpia. Mały ja obserwujący jak moja nowa ciuchcia mknie po drewnianych torach... Poczułem mocne uderzenie w plecy.

– Ruszaj się szybciej królowno, bo zabraknie ci miejsca przy kozie. – Wyostrzając wzrok zobaczyłem wyprzedającego mnie Daniela. Biegnąc nieszczęśnik potracił barkiem starszą kobietę. Wytrącił jej z rąk brązowe pakunki, które staruszka najpewniej wywlekła z poczty.

– Ach, co za dzicz! – Warknęła staruszka, zbierając rozrzucone na śniegu paczki. Daniel już tego nie słyszał.

– Na co się tak gapisz chłopaku? Pomóż babce. – Machnęła na mnie laską, a ja w milczeniu pomagałem, zbierać jej szpargały z chodnika. – No oddawaj to! Żebyś sobie czegoś nie przytulił. – Wyrwała mi ostatnią paczkę z rąk i zbulwersowana ruszyła przed siebie. „Wredna stara rura” – jedyne co przyszło mi na myśl po spotkaniu uroczej seniorki.

Szedłem dalej wychodząc poza miasto. Zza zakrętu zaczęły się wyłaniać mury Klepki, mojego „domu” –

starego, opuszczonego dworca kolejowego, pełniącego funkcję nieoficjalnego przytuliska dla bezdomnych z miasta. Mamy tam ciepło, dach nad głową, znajomych, niektórzy zostają na dłużej, znajdują rodzinę miłość, przyjaźń. Ja jednak jestem typem, który chce stąd jak najszybciej uciec. Wolę samotnie przemierzać ośniewane ulice miasta niż spędzać całe dnie na zabawie w normalnego człowieka, którym zresztą nie jestem. Choć chyba pragnę być.

Przeskoczyłem płot i wszedłem do ogromnego tunełu, po wszystkich stronach rozstawione były namioty niektórych, znanych z widzenia, mieszkańców dworca. Podążyłem do dwóch wagonów, to takie bardziej ekskluzywne lokum, stojące od ponad trzech lat na peronie drugim przy torze pierwszym. Prowadzi do niego zwodzony most z desek. W wagonie mieszkam ja, Ezma, Daniel i Poli, cała trójka dzieli wagon pierwszy. Z racji odkrycia tego miejsca zajmuję własny przedział, bardzo cenię sobie prywatność choć mam jej niewiele. Wchodząc ogarnąłem wzrokiem ciepłe, jasne pomieszczenie. Było tutaj wszystko, kuchnia zrobiona z pozostałości po kolejowym bufecie, dwie kanapy i łóżko piętrowe. W tle grał stary gramofon, odtwarzający jakąś świąteczną melodię. Dziwnymi wydawały mi się zawsze skarby zgromadzone przez współlokatorów,

kradziony szyld kawiarni „Kardamon”, drogowy znak stopu, litery poodrywane z różnych miejsc tworzące nowe napisy. Są tu zupełnie zbędnie, a na swoim dawnym miejscu, po prostu miały sens. Kuły moje oczy przypominając jakie zniszczenia potrafią siać ludzie, mojego pokroju. Z zamyślenia wyrwała mnie dziewczyna z blond lokami, perfekcyjną figurą i twarzą o dużych oczach. Rzuciła mi się na szyję z wielką radością. Wygląda jak lalka mimo tego całego syfu, który ją otacza. Kątem oka widzę spojrzenie zazdrości Ezmy i Daniela, obydwójce kochają Poli a ja najchętniej bym się jej pozbył z mojej szyi. Zawsze, gdy mnie dotyka mam przed sobą obraz jej rozebranej w moim pokoju. Mającej nadzieję, że jej nagie ciało wzbudzi we mnie instynkty pierwotne, jednak ja nie jestem taki. Postanowiłem wtedy zrobić nic, a ona w końcu się ubrała i przestała traktować mnie jak zwierzę, na pewien czas. Zawsze wprowadza mnie w zakłopotanie i najzwyczajniej w świecie boję się jej szaleńczej ekspresji.

– Wysłałam kartkę świąteczną mamie. – Poinformowała mnie jakby to było nadzwyczaj normalne i oddaliła się krokiem ociekającym perwersją w stronę choinki, którą przyozdabiała zwykłymi bombkami i zużytymi strzykawkami. Matka Poli wychowywała ją w domu publicznym, była z zamięłowania prostytutką

i chciała w tym duchu wychować Poli, dlatego się jej bałem. Krucha, skrzywdzona, jednak nieświadomie, przesiąknięta perwersją i szczerze zepsuta pod każdym moralnym względem. Nie umiałem jej pomóc, a ona sama nie chciała pomocy. Mimo to uciekła od matki, była zagadką, której nie chciałem odkrywać, a jednak trochę mnie kusiło.

– Co tak patrzysz nie podoba ci się? – Zapytała wieszając swoje awangardowe ozdóbki. – A to kupiłam z myślą o tobie, zawsze lubisz na nie patrzeć. – Pokazała mi paczki lampek na baterie, a ja nie mogłem, nie chciałem widzieć tego świątecznego chlamu, nie tutaj nie, na moim terytorium, gdzie miał panować spokój.

– Przepraszam jestem zmęczony – odburknąłem.

Wszedłem do swojej ciemnej, błogiej ciszy. Tak, wiem, jestem chamem, ale nie lubię tego miejsca. Odnosiłem wrażenie, że Poli chce tu być, bawi ją codzienna walka o przetrwanie. Zamknąłem drzwi mojej strony, w pokoju panował półmrok. Pociągowe okna były na wpół przysłonięte, ubrania poskładane w kostkę, leżały w prowizorycznej szafie zrobionej z dużej skrzynki elektrycznej. Na bagażowych półkach zalegało kilka opasłych tomów Kodeksów Cywilnych z komentarzem i innej literatury prawniczej. Wszystkie uruchamiały wspomnienia, najpierw rezygnację z uniwer-

sytetu i ponowne próby dostania się na wymarzony kierunek, rozterki co do obrania kierunku, na koniec rozmowa, w której dziesięcioletni ja dowiaduję się, iż mam ADHD. Wyrzuciłem to dawno ze swojej pamięci, pewnie przez zachowanie matki. Trzasnęła drzwiami od gabinetu i wyszła krzycząc wcześniej na lekarza, że jestem normalny i nic mi nie jest. Po paru latach ciągłych zmian oraz bezustannych analiz, przemyśleń, podejmowania coraz to nowych odklejonych od rzeczywistości decyzji. Połączyłem kropki, także przypomniałem sobie tę wizytę, słowa przyjaciół mówiących, że chcę od życia za wiele i w konsekwencji nie dostaję niczego. Pragnąłem robić tak wiele rzeczy na raz, samo myślenie o tym mnie męczy, nie pozwala wyjść z łóżka, który to już raz. Odciągałem się od myśli, rzucałem paczkę z paczkami na drewniane biurko, kiedyś pokładałem na nim świecę niczym prawdziwy romantyk, którym nigdy nie byłem. Rozebrałem się i zerknąłem na lustro. Moje ciało było wyschnięte, wychudzone, a po dawnej dobrze zbudowanej sylwetce nie było prawie śladu. Ciemnobrązowe włosy w nieładzie potargane i polepione. Zarost dodawał mi męskości, połowicznie zakrywał wychudzone policzki. Zielone oczy nieco zapadnięte. Wyglądałem starzej zupełnie nie jak 23 letni facet. Nie mogąc dłużej na siebie patrzeć,

umościłem się na obszernym materacu. Sen nadszedł szybko, było mi dobrze, kiedy spałem, nie myślałem o Poli o Klepce i o czasie, którego zostało tak mało. Wtedy poczułem wiercenie się na materacu.

– Śpisz? – Szeptala Poli jakby sama jej natarczywa obecność, mogłaby jakimś cudem nie przeszkadzać w spaniu.

– Teraz już nie. – Głęboko westchnąłem.

– Bo ja przyszłam się poprzytulać. – Gdzieś w głębi czułem, że trzepocze rzęsami i robi te słodkie niewinne wyuczone minki.

– Poli jest druga w nocy a ja jestem w gaciach.

– Wiem. – Roześmiała się i wtuliła, była ciepła i miękka po prostu przyjemna a ja nie chciałem jej mieć, ani ranić.

– Chcesz może pączka? – Zmarszczyłem pytająco twarz próbując jakoś wybrnąć z tej sytuacji.

– Nie dziękuję.

– A może jednak są ze świąteczną posypką? – Nalegałem.

– Niech ci będzie. – Odparła a ja sięgnąłem po pudełko, i zaczęliśmy jeść nedorzecznie słodką przekąskę. Pochłonęła pączka w bardzo szybkim tempie, a potem drugiego pewnie zapomniała zrobić „zakupów” spożywczych, podczas zaopatrywania się w cudze dekora-

cje. Po trzecim pączku, podałem jej wodę i znów poczułem ja przy sobie tym razem jej brzuch wydawał się odrobinę bardziej krągły co mnie ucieszyło, mimo wszystko chciałem dla niej dobrze.

– Poli wiesz, że nie powinnaś tu przychodzić w środku nocy, nie czuję się z tym najlepiej, masz tyle opcji Ezma cię uwielbia, byłaby sto razy...

– Nie jestem lesbijką, Ezma to moja przyjaciółka, to nie mój typ...

– Jeśli ja jestem w twoim typie, to ty musisz być masochistką Poli nie możemy i nie będziemy razem, mogę o ciebie dbać mogę ci pomóc, ale nigdy nie będziemy razem, jesteś chaosem i niczym innym być nie chcesz, a ja potrzebuję spokoju.

– Może za długo byłeś spokojny, może zbyt długo uciekasz od życia?

– Poli ja nie uciekam od życia, my wszyscy tutaj... każdy dzień to próba i dobrze o tym wiesz, nie potrafię myśleć o bombkach, kiedy nie wiem czy jutro będę miał co jeść i gdzie spać. Nie żyjemy normalnie nie próbuje udawać, że jest inaczej. Nie odpowiada mi to, ale na razie nie wiem, jak się wyrwać z tego syfu.

– Razem nam będzie lepiej. – Powiedziała, ciepłe łzy płynęły jej po policzkach, a później moczyły również i mnie.

– Bo ciebie nigdy przy mnie nie ma, jak trzeba. – Kontynuowała a jej głos łamał się i unosił bez większego sensu. – Serce mnie boli tak się ciska, chciałabym je wziąć w dłonie, przytulić powiedzieć, że już wszystko przeszło. Mam wrażenie, że to mały cierpiący szczeniaczek, a ja nie mogę mu pomóc. Tam jest mi tak ciężko. Czasami mam ochotę walnąć głową o ścianę, tak żeby wszystko wypadło, a przede wszystkim ty, jesteś taki nieosiągalny i niedostępny. – Obląkane oczy świeciły jej w ciemności. Szaleńcze słowa kłębiły się w moich myślach, niby nie miały sensu, ale rozumiałem przez co przechodzi to było proste do rozumienia. Cała jej przeszłość bolała, ulokowała uczucia w niewłaściwym człowieku. Nie potrafię jej pomóc ani sobie. Wszystko sprawia, że czuję się jeszcze gorzej.

– Idź spać, jutro poszukamy jedzenia i może poszperamy po osiedlowych śmietnikach, ludzie sprzątaj na święta pewnie znajdziemy coś, co uda się sprzedać na pchlim targu. – Odwróciłem się do niej plecami i zasnąłem, lekceważąc jej szaleńcze wyznania. Zawsze to robiłem, ponieważ żadne słowo nie było w stanie przynieść jej ulgi. Zastanawiałem się czy w ogóle cokolwiek jest w stanie złożyć ją do kupy. Nie chciałem z nią być, męczyła mnie, jednak skrzywdzenie jej tak,

jak ci wszyscy inni mężczyźni... Nie mogłem sobie na to pozwolić.

Następnego dnia wstałem wyspany, Poli już nie było. Włożyłem pozornie świeże ubranie. Zdecydowanie powinienem coś odłożyć na pralnię. Ogarnąłem włosy, postanowiłem dziś zarobić. Wychodząc z pokoju zamarłem. Poli spoczywała, na kolanach Daniela, razem odpływali, a obok nich leżały strzykawki. To był częsty widok, obydwójce uwielbiali uciekać. Dodatkowo Daniel często handlował, miał kasę, był tu dla rozrywki. Nie interesował mnie, dopóki niebyło z nim problemów.

– Ciebie do reszty popierdoliło, wiesz co jej robisz?
– krzyknąłem na Daniela.

– Spokojnie podzielimy się – odparł ze śmiechem, robiąc obleśną minę.

Złapałem Daniela za bluzę i bez problemu podniosłem do góry. Był długi jak podłużny żelek.

– Spokojnie bracie to tylko żarty wiesz, że nic jej nie zrobię. Ta niebieskowłosa zdzira jest na straży.

Faktycznie Ezma siedziała w prowizorycznej kuchni i wpatrywała się w naszą trójkę z uśmiechem.

– Kol daj spokój on jest w innym świecie, popilnuję ich by niczego nie zepsuli. A ty idź coś pozbierać, dołączę do ciebie jak im przejdzie. Około czternastej będę

przy parku, jak nic nie ogarniesz to pojedziemy do bogatszej dzielnicy. Zawsze jest opcja kolędowania, jak pastuchy już wyglądamy, Daniela naszprycujemy będzie baranem – zachichotała, a ja jakoś nie potrafiłem się z tego cieszyć. Westchnąłem i zgarnąłem plecak. Musiałem zaufać Ezmie, to była jedyna osoba z naszego „domu”, której mogłem zaufać. Kiedy już miałem wyjść usłyszałem Poli.

– Mam w rękach... sześć szklanych kul Kol, żongluje nimi bez problemu, ale ty dorzuciłeś mi siódmą, chciałam... starałam się – bełkotała – ... ale nie umiem siedmioma, upadły rozbiły się a... a odłamki znalazłam w sercu. – Machnąłem ręką na zjarane wizje i ruszyłem do „pracy” przecież musimy coś jeść.

Godzina 15.30.

Ezmy nie było przy parku, ja w porywie szczęścia znalazłem pudełko z czerwonymi harlekinami. Udało mi się je sprzedać za 70 zł, prócz tej zacnej literatury znalazłem jeszcze dwa zegarki, spinki i buty. Dzisiejszy utarg to 200 zł. Zadowolony ruszyłem do Klepki.

Idąc drogą znów podziwiałem ludzi, robiących zakupy. Chciałem być taki jak kiedyś, znów widzieć moją matkę krzątającą się w kuchni, rodzinę na kolacji

wigilijnej, słyszeć ten okropny jazgot małych kuzynów, układać z nimi tory kolejowe dla elektrycznych pociągów, kupować prezenty znajomym, być normalnym, nudnym szarym człowiekiem. Co ja tu robiłem? Mogłem wrócić, ale nie chciałem. Nie, nie byłem już tym człowiekiem, który pragnął być tylko anonimowym, chłopakiem bez imienia. To głupie pragnienia. Kol... jak żałośnie to brzmiało, tylko tym właśnie byłem, Kolem z ulicy, Kolem z Klepki. Poli nie mogła mnie chcieć, miała swoją historię, całkiem różną od mojej, a obydwójce potrzebowaliśmy w życiu kogoś zdrowego. Tak znałem kogoś zdrowego, to chyba jedyna dziewczyna, którą mogłem pokochać. Mieszkała w okolicach mojego domu, była zawsze uśmiechnięta i lubiła ciasteczka. Pamiętam jej zapach, był taki świeży, włosy miała miękkie, a wzrok wcale nie obłąkany, tylko ufny. Jej oczy były zielone z brązowymi drobinkami, Rozalia... ciekawe czy jeszcze mnie pamięta. Moje marzenia przerwało mignięcie. Centralnie przed ostatnim zakrętem zobaczyłem skaczące blond loki, Poli tańczyła po krawędziach, czynnego mostu kolejowego. Zamurowało mnie. Podbiegłem w jej stronę.

– Poli chodź tutaj! – wykrzyczałem dobiegając, a ona spojrzała szerokimi, zamglonymi oczami lalki z miną, która zmroziła mi krew w żyłach, była nacpa-

na. Nie pierwszy raz próbowała to zrobić w tym stanie. – Poli chodź proszę – spokojnie ją zawołałem. Stałem przed mostem, a w uszach słyszałem już gwizd lokomotywy, wyła tuż za moimi plecami. Chciałem pobiec po tę dziewczynę tańczącą w dalszym ciągu na skraju mostu. Ale coś mnie trzymało.

– Przyjdź tu proszę, będę twój, obiecuję, tylko przyjdź tu – z łatwością kłamałem, a dźwięk lokomotywy w moich uszach stawał się głośniejszy. Nie wiedziałem tylko czy jest realny, przecież nie będę się z nią ganiał po torach. Poli nagle odwróciła się zamasyżować i wykrzyczała.

– Czemu mam do ciebie przyjść? Nawet nie wiem jak się, nazywasz. Nie ufasz mi, więc czemu ja mam tobie ufać?

– Chodź tu, nie chcesz tak zginać! – warknąłem i w końcu ruszyłem po nią biegiem, a ciche pogwizdywanie torów uświadomiło mi, że faktycznie zaraz pociąg nadjedzie. Chciałem chwycić Poli jednak ona odskoczyła i pchnęła mnie. Jedyne co pamiętam to tępe uderzenie w głowę, świst torów i śmiech albo płacz Poli. Potem już tylko słyszałem pociąg, ale nie ten z mostu tylko ten zabawkowy, którym bawiłem się z kuzynami, słyszałem głos matki wołającej do stołu

i ciche kolędowe lulaj. Czasem mignęły mi czerwono
niebieskie światła przed oczyma.

– Poli jestem Piotr... Piotr Koliński, proszę chodź
do mnie.

KAROLINA BYSZEWSKA

Oby nie
było go-
rzej

Witold mówi mało – przynajmniej na początku. Czasem opowiada więcej, kreśląc wtedy obraz siebie jako człowieka rozgadanego, wielbiącego pracę z ludźmi oraz ich samych. Jednak zapytany o własne życie – milczy. Wygląda wówczas tak, jakby w ułamku sekundy od nowa wszystko przeżywał.

Tak samo tonie w myślach, kiedy poproszony o to, aby opowiedział o czymś, co najbardziej zapadło mu w pamięć, śmieje się krótko i potrząsa głową z lekkim zażenowaniem.

– Co mogę opowiedzieć, skoro nic nie wiem? Ciemnota ze mnie. Ciągłe kręczę się w kółko – mówi.

Od ponad dziesięciu lat Witek jest zawodowym kierowcą, chociaż pewien czas poświęcił pracom takim, jak na przykład służba mundurowa.

O miesiącach oddanych żołnierce mówi niewiele – prawie w ogóle. Jeździć bowiem lubi najbardziej ze wszystkiego, czego już w życiu próbował. Upłynie jednak trochę czasu, zanim przyzna się do tego w rozmowie.

Witold wygląda tak, jakby wbrew temu, co często o sobie mówi, był trochę nietowarzyski. Uśmiecha się rzadko, a pasażerów pozdrawia krótkim „witaj”. Trzeba zapracować sobie na jego zaufanie. Jeżeli jednak

człowieka zapamięta, wtedy jest najcieplejszą osobą, na którą zawsze można liczyć. Stałym pasażerom mniej liczy za bilet. Dostają ulgowe, tańsze, w ramach promocji, jak to czasem zdarza się Witoldowi żartobliwie mówić.

Któregoś dnia, w półgodzinnej przerwie między wieczornymi, listopadowymi kursami, kupił na przykład jedzenie zmarzniętemu bezdomnemu. Bez słowa kucnął obok starszego pana w podartej kurtce, którego zauważył trzęsącego się z zimna pod małym sklepem, i podał mu reklamówkę wypełnioną produktami spożywczymi – chlebem, konserwami, bułkami i wodą. Dał mu nawet dżem.

Zapytany o to, czy się znają, kręci głową.

– Bycie kierowcą jest trochę jak robienie zdjęć. Zawsze widzisz wyłącznie ułamek życia innych – nigdy całość. Ale dobrze płatną pracę mam, więc czemu by się tym nie podzielić? Jak podejdziesz do ludzi, tak oni podejda do ciebie – opowiada.

Tłumaczy to spokojnym tonem dopiero wtedy, kiedy wreszcie siada za kierownicą nagrzanego mikrobusu. Stałych pasażerów wpuścił do środka wcześniej, zanim wyszedł, bo niepotrzebnie zmarzliby w taką pogodę.

Mówi się, że mało kto o zdrowych zmysłach ślęczy za kierownicą po dwanaście godzin dziennie. Witold

na szczęście wtedy jednak pracował, a jedzenie którym wspomógł bezdomnego było pierwszym i ostatnim, które ów bezdomny tamtego dnia zjadł. Ani jeden człowiek, czy to przechodzący przypadkiem, czy to czekający na autobus, nie powtórzył gestu około pięćdziesięcioletniego mężczyzny.

Ale ludzie i tak wciąż twierdzą, jakoby wszystko, co kierowca w życiu miał do zrobienia, to jedynie prawo jazdy. W tym zawodzie – mówią – jesteś wtedy, jak nie potrafisz robić w życiu nic.

– To podgatunek, a nie ludzie.

Któręś razu powiedział tak pewien młodzieniec, przechodząc obok przystanku, i splunął dodatkowo na potwierdzenie swoich słów – towarzystwo odpowiedziało na to pomrukami zadowolenia. Toteż Witek, słysząc od czasu do czasu pytanie o to, czy samopoczucie mu dopisuje, ucieszony serdecznością innych, ciągle uśmiecha się życzliwie i grzecznie odpowiada.

– Może być – mówi praktycznie od razu, bez namysłu, ale za to z dużą dozą życzliwości. Za chwilę podnosi wzrok, wydając resztę za bilet i dodaje konspiracyjnym tonem: – Zawsze może być gorzej, ale oby nie było. To moje motto.

Wobec pasażerów Witold używa stwierdzeń takich jak „może być” czy „bardzo dobrze”, stosując obie odpowiedzi wymiennie. Niewykluczone, iż tak samo la-

konicznie odpowiada przyjaciółom, najważniejsze, że teraz chętnie wspomina o rozmowie przeprowadzonej ze swoim dobrym kolegą.

Gdybyście zastanawiali się więc, o czym rozmawia dwóch zawodowych kierowców pomiędzy poszczególnymi kursami, to najprawdopodobniej mówią o swoim zawodzie – o szerokiej drodze, ale i o warunkach, w których przyszło im pracować. Wiele wypowiedzi pasażerów skłania ich do przemyśleń, na przykład krótka pogawędka o tym, w jaki sposób wytrzymują ze wszystkimi ludźmi.

– Ludzie mi nie przeszkadzają – odpowiada Witek, usłyszawszy pytanie, które bardzo go zdumiewa. Ludzi przecież lubi. Ba! Gdyby mógł, to zawsze jechałby pełnym bussem, a tak – czasem – w trasę powrotną wybiera się sam. Trudno mu sobie przypomnieć, kiedy ostatnio wioził kogoś po godzinie osiemnastej. O tej porze większość ludzi zazwyczaj je już kolację w domach.

Jeździ więc sam. Lekko zmęczony, czekając na zielone światło, łokciami opiera się o kierownicę. Najczęściej prowadzi w ciszy, od czasu do czasu nucąc pod nosem piosenkę zasłyszaną w radio. Wiadomości przełącza. Jeżeli o tak późnej porze musi słuchać, co dziennikarze powtarzają kolejny już raz z rzędu, podenerwowany uderza palcami o dźwignię zmiany biegów

w jedynie sobie znanym rytmie. Ale jest wyłącznie człowiekiem – przecież może mieć gorszy dzień.

Sporo osób i tak wciąż uważa go za kogoś złego.

– Lepiej, żeby się tacy nie rozmnażali – wszyscy bylibyśmy szczęśliwsi. Przecie kierowcy to debile, złodzieje, matole, lenie i brudasy. Większość to chamy i pijacy – mówi się wciąż.

Witold obala takie stereotypy. Często opowiada, o której budzi się każdego dnia, byleby pomóc chorej żonie w dopilnowaniu gospodarstwa, zanim ponownie wyruszy w stałą trasę. W domu ciągle coś robi. Woli pracować, zamiast beczynn timer siedzieć, oglądając sport w telewizji. Nawiasem mówiąc, i tak o wiele bardziej interesuje się programami przyrodniczymi. Swego czasu na przykład często z zapartym tchem przyglądał się rekinom podczas emisji *Shark Week*.

Bez ruchu może wytrzymać wyłącznie wtedy, kiedy prowadzi samochód, dlatego tak często powtarza to, co powiedział już wcześniej:

– Kręcę się w kółko. Ciągłe te same dołki.

Kłamie, być może nieświadomie, uważając to wszystko za mało istotne. Lepiej niż inni wie jednak, że każdy dzień przynosi coś nowego – szczególnie w takim zawodzie. Największym zaskoczeniem zawsze są ludzie.

Witold często macha swoim stałym pasażerom, widząc ich gdzieś w trasie, a potem uśmiecha się szeroko, jakby w osłupieniu, kiedy odpowiadają tym samym. Jeżeli późnym wieczorem zobaczy któregoś czekającego na ostatni autobus, zdarza mu się nadłożyć drogi, aby odwieźć człowieka własnym autem prosto pod dom. Szczerze i długo opowiada wtedy o wszystkim.

– Pokochałem to – mówi – ale trzeba to lubić. To bardzo męczące. Jestem już dzisiaj utyranym.

Opowiadając o swojej pracy, uśmiecha się nieznacznie, ledwo widocznie. Ciągłe przygląda się ciemnej drodze przed sobą, jeżeli zaś z naprzeciwka nadjeżdżają inne samochody odruchowo mruży lekko oczy w okularach z cienkimi, metalowymi oprawkami. Wyposażone są w specjalną powłokę *SEIKO RCC* przeznaczoną dla kierowców. Używa ich wyłącznie po zmroku. Bez nich, mawia czasem, za szybko bym się zmęczył, tak długo prowadząc samochód, a bezpieczeństwo jest najważniejsze.

Jedzie siódmym kursem. Wracałby już do domu, ponieważ jednak najpierw odwiózł dobrze znanego, stałego pasażera, dołożył tym samym kilkadziesiąt kolejnych kilometrów do przebiegu auta. Codziennie w trasie spędza prawie dwanaście godzin – zaczyna o siódmej, a kończy po dziewiętnastej – co najmniej

trzy dni w tygodniu. Dzisiaj przejechał już około pięćset kilometrów.

Mocniej wsuwając okulary na nos, z boku wygląda tak, jakby już był bardzo zmęczony. Czasem przeciera twarz dłonią, zaraz jednak mocno chwyta kierownicę, zatrzymując się przed szczeniakiem, który przebiega właśnie przez słabo oświetloną ulicę. Jeszcze jutro z samego rana wiezie żonę do lekarza w Warszawie. Ale na razie chętnie wspomina.

– Wiozłem raz takiego śmierdzącego człowieka – opowiada ze śmiechem – przez którego ludzie przesiadali się na tył autobusu. Podobno spleśniały chleb w torebkach woził.

Zapytany o to, czy często mu się coś takiego zdarzało, zastanawia się chwilę, próbując przypomnieć sobie takie sytuacje. Myśli o tym, bo chce odpowiedzieć szczerze. Ale czy rzeczywiście tak często, aby o tym opowiadać...?

– Przez dziesięć lat może ze trzy razy. Różnych ludzi się spotyka.

Ale przecież to lubi. Lubi ludzi, sporadycznie niepochlebnie o nich mówiąc, ale zawsze zgodnie z tym, co sam wie. Opowiada na przykład – po trosze dumny z siebie – o kierowcy z innej firmy, na którego ciągle wpływały skargi, a szefostwo je ignorowało.

– To ewenement – mówi ze śmiechem.

Dumą napawa Witolda przede wszystkim to, co mówią między sobą ludzie, potencjalni pasażerowie, dzięki czemu ciągle widzi nowe twarze w swoim mikrobusie marki Mercedes. Polecają sobie interes. A im więcej pasażerów, tym większy utarg i tym bogatsza firma – tym pewniejsza praca.

Co prawda, niektórych z tych pasażerów większość społeczeństwa wołałaby pozbyć się szybciej niż później, ale Witek pełen jest niezrozumiałego spokoju. Pewnego dnia na przykład, w przerwie między kursami opowiadał stałej pasażerke o swoich wnukach. Najgorsze, co potem przyzna, w takiej pracy to żal, że ominął tak wiele wspólnych, rodzinnych obiadów. Jednak w latach, kiedy dzieci jeszcze się uczyły, pracował jako kierowca międzynarodowy. Zwiedzał wtedy głównie wschód, czyli Rosję oraz Łotwę, ale także bywał w Niemczech. Mimo to najbardziej podobały mu się stepy, na przykład Pontyjski na granicy Rosji z Kazachstanem.

Drzwi mikrobusu, w którym mieści się trzydzieści osób, uchyliły się lekko. Do wewnątrz wsunęła się głowa nieznanego mu mężczyzny.

– Jakby pan jechał na Warszawę, to jaka byłaby cena biletu?

– Nie jeżdżę do Warszawy – odpowiedział Witek.

– Aha... to jaka jest cena biletu?

– Nie mam pojęcia.

Pytając jeszcze raz o to, jak wytrzymuje z tyloma ludźmi, trzeba liczyć się z jego uśmiechem.

– Nie jest aż tak źle – odpowiada.

Mimo to także i Witek momentami się niecierpliwi. Przykładowo, jeżeli wraz z początkiem zimy, a dokładniej z pierwszym śniegiem, zapyta się kierowcę o to, co słyszać, odpowie grzecznie i zażartuje. Widać jednak, chociażby kiedy palcami uderza o kierownicę i dźwięnię zmiany biegów, jak bardzo denerwuje się głupotą innych – jeżdżeniem z końcem listopada na letnich oponach.

– Co za ofiara losu – mówi pod nosem.

Wyprzedza osobowe auto po to, aby zyskać trochę czasu. Przez pół godziny wlekł się za tym samochodem w centrum miasta. Drogę, która trwa normalnie dziesięć minut, tego dnia pokonał dopiero w czterdzieści. Ludzie czekają na przystankach, a on ma już tak duże opóźnienie.

Zamiast powiedzieć cokolwiek o nieodpowiedzialności młodych kierowców, odpina pas, aby pomóc wysiąść starszej kobiecie. Łapie pod ramię panią, która ciągle zanosi się kaszlem, i sprowadza ją w dół po paru schodach. Z uśmiechem oddaje kobiecie reklamówkę z zakupami.

Ściemnia się już o wiele szybciej, tak, jak to w grudniowe wieczory najczęściej bywa. Witold wsuwa oku-

lary na nos, mrużąc oczy z głośnym westchnięciem, kiedy z drogi podporządkowanej wyjeżdża ciężarówka.

– Tylne światła przeciwmgielne masz włączone. Oślepiasz – mówi przez CB radio spokojnym tonem.

Wielu kierowców, także tych zawodowych, trzeba upominać tak samo, jak zwykłych ludzi. Innym uczestnikom ruchu drogowego – najczęściej TIR-owcom z różnych zakątków Polski – równie cierpliwym tonem tłumaczy, którądy najlepiej pojechać. Gonią ich terminy. Chcą zaoszczędzić czas. On z kolei zna to z własnego doświadczenia. Przecież parę lat temu sam tak pracował. Bywało tak, że czekał po dwa dni pod Hiszpanią, zanim przywiozą mu towar.

Witold często w podobnym tonie upomina także pasażerów, prosząc, by zamiast groszami, płacili chociaż drobnymi. Bo gdzie potem ma to wymienić? Jak policzyć to w czasie jazdy? Chwila nieuwagi prowadzi przecież do wypadków.

– Czy ja ci robię takie rzeczy? Co ty mi dajesz? Ja takich pieniędzy nie wydaję, a mi wszyscy takimi płacą.

Chłopak, około trzynastoletni, chyba trochę się wystraszył. Opuścił wzrok i patrzył na swoje stopy bez komentarza – Witek czasem jest bardzo bezpośredni.

– Wszyscy chyba dzisiaj skarbonki porozbijali...

Ewidentnie ma gorszy dzień. Jeżeli zapytasz więc, czy pamięta coś jeszcze, wspomni wreszcie mniej przyjemne sytuacje. Opowie o stłuczce, o czymś, co poważnym wypadkiem mogłoby się stać, gdyby zareagował trochę później.

– W trasie wszystko to kwestia sekund – mówi.

Tłumiąc ziewnięcie, zauważył światła z naprzeciwnika, które kierowały się wprost na mikrobusu. Młody człowiek, wyprzedzając, wyjechał mu wprost pod koła. Zadziałał odruch. Witek w ułamku sekundy skręcił w bok, umożliwiając autu w miarę bezpieczną jazdę. Zatrzymał się dopiero na poboczu.

– Jedyne zawód, w którym tylu kretyńców i złodziei znajduje swoje miejsce. To praca dla przygłupów – mówi się wciąż.

Zakonnica, która niefortunnie wtedy podnosiła się z fotela, w momencie nieudanego manewru upadła na podłogę. Witek od razu zapytał, zatrzymawszy się, czy komuś coś się stało. Mocniej zacisnął obie dłonie na kierownicy. Spoglądając po ludziach w tylnym lusterku, poczuł, jak opada z niego cały stres – usłyszał same zaprzeczenia. Tym razem się udało. Gdyby jednak zawahał się chociaż przez chwilę, mogłoby wydarzyć się coś o wiele gorszego.

– Oby nie było gorzej – mówi teraz, wspominając tamto wydarzenie.

KINGA KACZYŃSKA

Nie mów
mamie

Czy mam ochotę o tym mówić? Raczej nie... zdecydowanie nie, ale chciałabym, żeby inni poznali moją historię. Być może wiele dziewczyn boryka się z taką samą traumą, jaka prześladowa mnie przez całe moje życie. Nie miałam okazji nikomu opowiedzieć od początku do końca ze szczegółami, co mi się przydarzyło. Jestem gotowa. A więc możemy zaczynać...

Moje dzieciństwo było wręcz usłane różami. Nie mogłam na nic narzekać, ponieważ niczego mi nie brakowało. Jestem jedynaczką, więc byłam takim można powiedzieć, oczkiem w głowie moich rodziców. Zawsze dostawałam to, czego chciałam. Nie musiałam o nic prosić, bo wszystko miałam podane na „tacy”. Moi kochani rodzice byli dla mnie ogromnym wsparciem. Gdy pojawiał się jakiś problem, biegłam do mamy, siadałam na kolanach i opowiadałam jej o swoich rozterkach. Mama potrafiła słuchać godzinami mojego marudzenia, nie potępiając mnie przy tym, lecz ochocho pocieszając. Na tatę również mogłam liczyć. Zimowymi wieczorami pomagał mi w odrabianiu lekcji. Matematyka nie była moją mocną stroną, a miałam wrażenie, że on wiedział wszystko. Często przychodzi-

łam do niego z nastoletnimi sprawami sercowymi i zawsze słyszałam słowa „Nie martw się córcia, zdążysz się jeszcze zakochać”. Czułam się przy nich bezpiecznie i darzyłam ich wielkim zaufaniem. Mój świat mógłby wydawać się idealny, było niczym jak w bajce... rodzina idealna. Szczęśliwa jedyna córka, bogaci rodzice, porządek w domu, brak nieporozumień i życzliwe uśmiechy na co dzień. Ach, jak to cudownie brzmi, jednak rzeczywistość była zupełnie inna. Czułam się zadowolona i spełniona, mając takich kochanych bliskich przy swoim boku aż do pewnego momentu... ale to później.

To był piękny, majowy poranek. Miałam wtedy dziesięć lat. Gdy promieniste słońce budziło mnie wczesnym rankiem, natychmiast biegłam do łazienki. Mycie zębów, później ubieranie się i w końcu zejście do jadalni na przepyszne śniadanie, które z miłością przygotowywała mama. Zwykle była to dobrze wysmażona jajecznica, często za słona, ale jadłam ze smakiem. Tata jak zwykle w pośpiechu szykował się do pracy, jedząc przy tym lewą ręką kanapkę, a prawą klikając coś na laptopie. Jego praca była strasznie wymagająca i odpowiedzialna, był bowiem chirurgiem. Mama pracowała jako prawnik. Wymagało to od niej rzetelności oraz odpowiedzialności, lecz zaczynała pracę nieco

później niż tata. Takie sielskie życie, prawda? Na pozór. Tego dnia zauważyłam dziwne zachowanie ojca w stosunku do mnie. Zwykle to mama woziła mnie do szkoły, jednak tego dnia zrobił to tata. Powiedział, że chce spędzić trochę czasu ze mną podczas jazdy do szkoły. W pierwszej chwili nie wydało mi się to dziwne, bo w końcu to mój ukochany tatuś. Uznałam, że jest to normalne zachowanie. Jednak, gdy zaczęłam ubierać kurtkę, on lekko się do mnie przybliżył i powiedział „Ślicznie wyglądasz kochanie, takim strojem chyba kusisz kolegów z klasy, co?”. Nie odpowiedziałam. Pomyślałam tylko: „jakim strojem”? Byłam ubrana zwyczajnie. Koszulka, niebieska bluza, kurtka i dresy. Z lekkim uśmiechem zapięłam różową kurtkę i wyszłam z tatą do samochodu. Dziewczynka w wieku dziesięciu lat nie myśli jeszcze na tyle dojrzałe, aby wszystko analizować. Chociaż przez chwilę poczułam się jakby nieswojo, ale kontynuujemy. Wsiadłam do auta, rozmawialiśmy zwyczajnie, pytał się o lekcje, o koleżanki, o kolegów. Tata powiedział, że odbierze mnie ze szkoły. Rodzice kończą pracę późnym wieczorem, a ja muszę pół godziny czekać na przystanku, po czym następną godzinę jeździć po różnych wioskach, aż w końcu docieram do swojego domu. A więc cieszyłam się. Lekcje się skończyły. Wyszłam z budynku,

pożegnałam się z koleżankami i szukałam wzrokiem czerwonego samochodu. Przyjechaliśmy do mieszkania, mamy jeszcze nie było. Miała wrócić dopiero za trzy godziny. Razem z ojcem zjedliśmy chrupiącego kurczaka z frytkami, przyrządzonego przez niego. Po rodzinnym posiłku poszłam do pokoju, aby zacząć odrabiać lekcje. Zrobiłam przyrodę, język angielski, została mi tylko matematyka. Poprosiłam o pomoc tatę, bo w końcu on jest perfekcjonistą w tym przedmiocie. Matematyka jest jego mocną stroną, moją zdecydowanie nie. Tata z radością przyszedł do mojego pokoju, usiadł koło mnie i zaczął tłumaczyć mi te wszystkie skomplikowane zadania. Po godzinnym siedzeniu przy nieszczęsnej matematyce, w pokoju zrobiło się strasznie gorąco. Tato zdjął bluzę, popatrzył się na mnie i powiedział, żebym też się rozebrała. Popatrzyłam się na niego, poczułam się troszkę dziwnie, słysząc takie słowa od ojca, lecz zdjęłam swoją bluzę, bo rzeczywiście było ciepło. Rozwiązywałam w zeszycie zadania, aż nagle poczułam na swojej ręce delikatny dotyk. Zaczął mnie subtelnie dotykać po ręce, mówiąc przy tym: „Właśnie tak córcia, bardzo dobrze poradziłaś sobie z tym zadaniem, jestem z ciebie dumny. Moja zdolna myszka”. Nie wiedziałam co mam ze sobą zrobić. Chciałam wstać i wyjść z pokoju, ale nie miałam na

tyle odwagi, w końcu to był mój ukochany tatuś. Szepnął mi do ucha dziwne słowa, coś w stylu „Ładne masz rączki słoneczko”, po czym wstał i wyszedł. Matematyka skończona, a ja nieco przestraszona. Chyba każdy przyzna mi rację, że gdyby usłyszał w takim wieku te słowa od ukochanego rodzica, nie wiedziałby co zrobić, ani co myśleć. No dobrze, ale przejdźmy dalej. Kiedy zostałam w pokoju, usłyszałam głos mamy. Zapukała do drzwi, spytała się o moje samopoczucie oraz oczywiście o lekcje. Nie byłaby sobą, gdyby nie skontrolowała, czy wszystko mam odrobione. Wkrótce za oknem zrobiło się szaro, zbliżał się czas kolacji. Nie wspomniałam o sytuacji, jaka miała miejsce wcześniej z tatą. Stwierdziłam, że jest to nie warte uwagi. Nie chciałam zawracać jej głowy, bo wiedziałam, że miała dość swoich zmartwień związanych z pracą. Zawsze wracała zmęczona i wyczerpana po całym dniu. Nagle usłyszałam, jak mama woła mnie na dół na kolację. Byłam znużona tą matematyką i strasznie głodna. Momentalnie zerwałam się z łóżka i pobiegłam do kuchni. Siedzieliśmy w trójkę, było sympatycznie i miło. Tak jak gdyby nic się nie wydarzyło. Towarzyszyła nam ciepła, przyjazna atmosfera. Po zjedzonych naleśnikach z dżemem, nastała niezręczna cisza. Mama myła naczynia, a ja zostałam sam na sam z tatą w salo-

nie. Opowiadał mi różne historie rodzinne i przygody ze swoich szkolnych lat. Dochodziła godzina 22, byłam już trochę senna. Uznałam, że pójde się wykapać i spać, zresztą tata stwierdził tak samo. Idąc do swojego pokoju zauważyłam, że mama miała uchylone drzwi. Zerknęłam więc jeszcze do jej pokoju, leżała razem z tatą gotowa do spania. Pożegnałam się z rodzicami i udałam się do siebie. Gdy powieki mi się już powoli zamykały, usłyszałam ciężkie kroki po schodach zmierzające w moją stronę. Domyślałam się, że to tata. Udawałam, że śpię. Chciałam uniknąć tych niezgrabnych tekstów wypływających z jego ust. Poczułam jak siada na moim łóżku, następnie jak kładzie się przy mnie. Pomyślałam sobie „Czemu on się tak zachowuje, kiedyś taki nie był”. Najdziwniejsze było to, że jedynie, gdy jesteśmy sami on zachowuje się nieprzyzwoicie, a jak jest z nami mama, wszystko jest w porządku. Było to dla mnie niezrozumiałe, wręcz niedorzeczne. Leżał można powiedzieć ze mną, czułam się głupio, bo nie wiedziałam czego mogę się po nim spodziewać. Może to absurdalnie zabrzmiało, ale naprawdę nie miałam pojęcia co on tutaj robi. Raptem zaczął dotykać mnie po rękę, po włosach... Jego dłoń przesuwiała się coraz niżej. Gdy zbliżała się do mojego brzucha wiedziałam już co się dzieje. Na tej części ciała się za-

trzymał. Otworzyłam oczy, spojrzałam na niego z lekkim zdenerwowaniem i spytałam „Tato, co ty wyprawiasz?”, a on powiedział „Nie mów mamie, że tu byłam, niech zostanie to między nami”. Nie mogłam spać przez całą noc. Dopiero nad ranem, a była to chyba godzina czwarta, oczy na chwilę mi się zamknęły, lecz musiałam niedługo wstawać do szkoły. Rano obudziłam się całkowicie niewyspana i zniesmaczona sytuacją, jaka miała miejsce dzisiejszej nocy. Typowe śniadanie z rodzicami już nie wyglądało tak jak zawsze. Mało co odzywałam się do taty, do mamy w sumie też. Nie miałam ochoty z nikim rozmawiać. Kompletnie nie wiedziałam, czy jej o tym mówić, czy nie. Mama spojrzała na mnie, spytała dlaczego jestem taka nieobecna. Automatycznie popatrzyłam na ojca i odpowiedziałam, że uczyłam się do sprawdzianu w nocy. Wydawało się, że on jest zadowolony z mojej odpowiedzi. Przecież chciał, abym nikomu nic nie mówiła... Tego dnia mama pozwoliła mi zostać w domu. Była bardzo kochana i zmartwiona. Przejęła się moim niecodziennym zachowaniem. Uznała, że najlepiej będzie jak odpocznę w domu z tatą, aby miał mnie na oku. Niespodziewanie podniosłym głosem powiedziałam, że mogę iść do szkoły, że dobrze się czuje i nic mi nie jest. Nie miałam zamiaru zostawać sama z ojcem

w mieszkaniu. Jednak moja cudowna mama nalegała, abym jednak została. No cóż, zostałam. Nie przegadałabym jej. Jeśli postanowiła, że zostanę w domu to zostanę, i nie mam zdania. Tuż po wyjściu mojej mamy do pracy, tata zaczął oglądać telewizję. Bardzo lubił teleturnieje, zaprosił mnie na kanapę, abym wspólnie z nim oglądała. Byłam nastawiona niechętnie do tego pomysłu, ale i tak nie miałam co robić, więc pomyślałam czemu nie. Właśnie wtedy wszystko się zaczęło... Gdy siedziałam na kanapie, ojciec podsuwał się do mnie coraz to bliżej. Nagle złapał mnie za kolano. Już wtedy rozumiałam co się dzieje. Krzyknęłam „Proszę, tato przestań!”. Każdy dotyk jego dłoni sprawiał, że czułam wstręt i obrzydzenie. Zaczął dobierać się do mnie bez żadnych zahamowań, naprawdę bez żadnych. Pomyślałam wtedy „Boże, przecież jestem jego córką, co on robi?”. Nie potrafiłam tego znieść. Siedziałam na zamszowej kanapie jak słup, nie dałam rady ruszyć się, bo on był tak blisko. W końcu tato zaczął dotykać moich piersi. W jednej chwili go zniehawidziłam. Czułam, że głos małej dziewczynki rozrywa mnie od środka. On bez żadnych ogródek wchodził poziom wyżej. Nazwał mnie słodkim cukiereczkiem. Boże, jakie to było obleśne. Byłam w jego ręku pewnym narzędziem. Przychodził do mnie wtedy, jak

chciał się mną zabawić. W jednej chwili zrobiło mi się duszno, a po policzkach spływały mi łzy. Próbowалам się wyrwać z jego ramion, jednak był silniejszy. Gdy się odsunęłam, tata się zbliżał i obejmował mnie coraz to mocniej. Jego duże palce łaskotały moje sutki. Dotykał mnie z niezwykłą czułością i podziwem. To było niedorzeczne. Jak można robić to swojej własnej córce? Ojciec zaczął szeptać mi do ucha słowa „Cukiereczku, może nam być naprawdę przyjemnie”. Chciało mi się wymiotować. Zawsze, gdy mówił do mnie takie rzeczy chciałam zapaść się pod ziemię i nigdy nie wrócić do tego domu. Nie mogłam obarczać tym wszystkim mamy, chciałam tylko uciec. Tato zawsze znalazł okazję, by mnie dotknąć. Jak tylko mama wychodziła do pracy, on się mną zajmował. Wiem, że jeśli bym to ujawniła, on by się wszystkiego wyparł. W końcu miał miano porządnego, pracowitego, kochającego ojca i męża.

W wieku jedenastu lat rodzice zorganizowali mi huczne przyjęcie urodzinowe. Mogłam zaprosić moich kolegów i koleżanki z klasy. Na imprezie była również moja rodzina. Było jednym słowem cudownie! Mama upiekła mi ogromny, różowy tort z moim imieniem. Po prostu wymarzone urodziny. Mijały godziny, a ja z przyjaciółmi dałam się ponieść imprezowej atmosf-

rze. Graliśmy w kalambury, zrobiliśmy ognisko, były tańce, zabawy. Oczywiście nie do samego rana, bo następnego dnia czekał mnie zwyczajny dzień w szkole. Gdy przyjęcie zbliżało się ku końcowi, a goście się rozjeżdżali, wspólnie z mamą zaczęłam sprzątać. Było mnóstwo brudnych naczyń, porozrzucanych serpentyn i pełno brokatu na podłodze. Nie ukrywam, zajęło nam to trochę czasu. Oczywiście do sprzątania dołączył się tata. Chciałam tego uniknąć, chciałam uniknąć wszelkiego kontaktu z nim, ale przecież nikt o niczym nie wiedział, co nieustannie mi robił i jak mnie krzywdził. Wydaje mi się, że ojciec nie zdawał sobie sprawy z powagi całej sytuacji. Lekceważył moje uczucia, aby tylko poczuć się dobrze. Mama poszła do sypialni, chciała się zdrzemnąć po zwariowanym dniu. Ja też myślałam tylko o tym, aby w końcu się położyć. Po wielu godzinach tańców oraz przeróżnych zabaw ze znajomymi byłam wyczerpana. Gdy już położyłam się do łóżka, do pokoju po cichu wszedł tata. Wiedziałam co mnie czeka. Zaczął mnie obmacywać, wszędzie dotykać. Nawet w urodziny nie mógł sobie darować. Mówił „Cukiereczku, jeszcze raz chciałem ci złożyć życzenia. Spełnienia najskrytszych marzeń”. Pomyślałam, no tak, marzeń... Moim jedynym marzeniem było, żeby to wszystko się skończyło. Gdyby te życze-

nie się spełniło, byłabym najszcześliwszą osobą na tym świecie. Leżał koło mnie jeszcze godzinę. Z każdym jego dotykem czułam obrzydzenie. Sprawił, że moje urodziny stały się najgorszymi w życiu. I oczywiście nie mogłam nic mówić mamie.

Zawsze, gdy zaczynał mnie dotykać, czułam strach i wstręt do jego osoby, ale też do siebie. Nie wiedziałam, czemu on to robi. Wiadomo, ojciec to autorytet, trzeba go słuchać i być posłusznym. Nie mogłam mu się sprzeciwić, nie wiedziałam nawet w jaki sposób. Jak mogłam opowiedzieć o tym mamie? Wydawało mi się to niemożliwe. Robił to nieustannie przez dwa lata. Jednak po takim czasie, po następnym obmacywaniu i zabawach, jakie zapewniał mi ojciec zdecydowałam się przeprowadzić rozmowę z mamą. Któregoś popołudnia, gdy miałam dwanaście lat, wykorzystałam sytuację, że tata jest w pracy i bez namysłu pobiegłam do mamy. Nie mogłam już tak dłużej, nie mogłam udawać, że nic się nie dzieje. Odważyłam się o wszystkim opowiedzieć mamie, od momentu pierwszego dotyku ojca, aż po wsadzanie mi ręki w majtki. Chciałam, aby to w końcu minęło. Nie zniósłabym tego przez kolejne może i dziesięć lat. Na początku mama mi nie wierzyła. Na jej twarzy widziałam zażenowanie mieszane z rozczarowaniem, ponieważ przez ten cały czas żyła ze

świadomością, że jest wszystko dobrze. Ale nic nie było dobrze. Po godzinnej rozmowie dotarło do niej, że ojciec rzeczywiście mnie molestował. Uświadomiła sobie, co spotkało jej jedyne dziecko. Nie mogła sobie darować tej nieświadomości i bezsilności, że nie mogła mi wtedy pomóc. Natychmiast po powrocie ojca z pracy, rodzice odbyli rozmowę. Ukochany tatuś oczywiście wszystkiemu zaprzeczył. Słyszałam tylko jego słowa „Chyba ta nasza córka za dużo bajek sie naogłądała. Kochanie, nie wierzysz mi?”. Mama ufała mi w stu procentach. Utwierdziło mnie to tylko w tym, że zawsze mogłam szukać u niej wsparcia i pomocnej dłoni. W tamtej chwili żałowałam, że nie wyjawiałam tajemnicy wcześniej. Sprawa została zgłoszona na policję, rodzice się rozwiedli, a ja od tamtej pory nie widziałam ojca na oczy i nie chciałam widzieć. Tak jak kiedyś go kochałam ponad życie, tak teraz znienawidziłam na wieczność.

STACH SZWEJKOWSKI

Listopa-
dowa
przed-
wieczerz

W poniedziałki, a bywa, że i w piątki, odwiedzam pewien, nie mogę napisać jaki (bo jeszcze klientów nagonię i kolejki będą), bar czy jadłodajnię gdzieś w okolicach Pałacu Ogińskich. W tamtej okolicy jest, panie kochany, barek na barku jakby tylko tam można było prowadzić ten niełatwy biznes, bo klient kapryśny, odbija się jak mu coś nie w smak. W jednym to mnie na bułkę orznął, bo zupełnie meksykańską wziąłem, a dziewczyna bułkę przynosi i na mnie nie patrzy, a zupy nie ma, bułka leży. To przychodzi młody kucharczyk i pyta czyja bułka, ja mówię nie wiem. To on w kieszeń i mówi, że dla dziecka weźmie jak nie moja. No i co zrobić, dziecku bułkę zabrać to grzech. No to już tam nie chodzę, teraz bułka, a potem nie wiadomo co.

Jadłodajnia panie kochany będzie z pół kilometra od rezydencji księżnej Aleksandry tak hołubionej przez rodzimych poetów. W tych wierszydlach-wyznaniach łązą z jej duchem gdzieś po labiryntowych uliczkach Siedlec, leżą nad Muchawkę i nad Liwiec, palą znicze, wzdychają, o seksie z koniuszym gadają, zaglądając pod pańską kołdrę (jakby się przytulić chcieli do Pani Mat-

ki), nie wstydząc się nic a nic. Na jednym z medali jest podobizna Ogińskiej, że jakby w nocy ją zobaczyć, to pacierz śpiewająco odmówiony na mur beton – panie kochany. To może dlatego religijne towarzystwo jest w naszym oświeceniowym przecież grodzie. Konkursów literackich jak ulęgałek przy polnej gruszy, a profesory z miejscowego uniwersytetu tylko ręce zacierają i przekładają, ten pierwszy, ten drugi, a temu nic (bo pozer, narcyz, pcha się na Parnas, a u nas to cierpliwie trzeba, jak w Watykanie), a tę wyróżnić, bo jeszcze napisze odwołanie, bo i dla policji potrafi napisać poemat. Lepiej nie zadzierać z poetą, bo może opisać w grubym paszkwilu, a drugi to i do sądu pójdzie. Jak młodzi zaczęli źle pisać o miejscowych artystach, to gazetę literacką zamknęli.

W tym barku bywam w celu szybkiej konsumpcji niezbyt obfitego posiłku. Zamawiam zupę (niezależnie jaka jest) i krokiety z mięsem bądź kapustą – nigdy nie wiem, które będą dostępne w karcie dań, to znaczy na tablicy zapisanej kredą, gdzie figurują przeważnie dania wagi ciężkiej, od wątróbki, przez różnego autoramentu kotlety (od schabowego do devolaya, od mielonego do pulpetów).

Klienci, którzy chcą pochłonąć tę większą ilość są traktowani przez kucharki-sprzedawczynie (bo gotu-

je taka i na kasie też potrafi) z większą atencją. Porządny klient, taki swój z Mazowsza czy Podlasia (wuj to wie) chce się najeść, a nie pochlipać polewki. Mnie przejrzały spryčiuie od samiuśkiego początku. Tanio chce zjeść cwaniak, chłop 80 kg a zamawia jak przed-szkolaczek. Stąd nie dolewają mi zupy, a krokiety by-wają niedosmażone i zimne w środku. Godzę się z tym, akceptując lokalną hierarchę brzucha.

W listopadowe popołudnie czy już wieczór, gru-dzień panie był za pasem (dni krótkie jak szarawary hetmana Paca, a noce przepastne jak i one), udałem się zwyczajowo na zupę i krokiety. Wyjątkowo barek był przyszykowany pod jakiś uroczysty bankiet. Wyświe-cona zastawa, obrusy kontrastowały w pamięci z utłusz-czonymi plastikowymi stolikami i zużytą zastawą stoło-wą. Rozejrzałem się nerwowo za wolnym stolikiem i zobaczyłem w kącie kilka wolnych miejsc. Siedzieli tam stali bywalcy, pałaszując gulasz po węgiersku, go-łąbki czy pierogi – rzecz jasna – ruskie. „Uhm, gdzie tu się przysiąść” – pomyślałem gorączkowo. Kierow-niczka, jakoś wyjątkowo uprzejma, jakby wyczuwając me zakłopotanie, zaproponowała bym usiadł za stołem dla tych ekstra gości. Początkowo się zgodziłem, ale po chwili zrobiło mi się jakoś głupio. Włączył mi się tryb solidaryzmu społecznego i szybko dołączyłem do grup-

ki siedzącej przy drzwiach. Kątem oka spostrzegłem łysęgo i mocno podstarzałego mężczyznę. Znałem go z widzenia, a nawet kiedyś zamieniłem z nim słowo. Chodził po mieście w wytartym czarnym płaszczu czy też dyplomacie – jak mawiano dawniej na stadionie w Warszawie, gdzie zamiast piłki nożnej emocje budziły towary niewiadomej proveniencji. Liczyła się jednak cena. Do dziś pamiętam jak jakiś murzyn ciągnął mnie w przepastną głębię straganów, przekonując, że na pewno chcę kupić białe adidas.

Ten łysy jegomość miał zazwyczaj rozsuniętą czarną teczkę, z której wyglądały jakieś papiery; zawsze natchodziła mnie myśl, że człowiek ten coś przed chwilą ważnego zgubił. Kiedyś z nim siedziałem przez chwilę w tym lokalu i tak mnie zagadywał, że nie za bardzo chciałem się dosiąść. Jadłem wtedy naleśniki z serem i mocno pocukrzoną śmietaną. Jegomość zrobił mi wówczas wykład, jak wyczyścić talerz z białego przysmaku, choć może zauważył, że moim celem było raczej zrezygnowanie z tej diabło słodkiej polewy.

Tym razem jednak byłem jakoś bardziej nastrojony do rozmowy. Może przez to, że zagrożenie innymi gośćmi spowodowało, iż chciałem poczuć się bardziej swojsko. Po wymianie uprzejmości zeszło na jedzenie. Przypomniałem sobie, że ów towarzysz stołowy koń-

czył kiedyś studia w szkole rolniczej w stolicy w zakresie żywienia, więc zahaczyłem o temat i poszło.

– Panie tu najlepsze jedzenie w mieście – zaczął. Powiedział to głośno, żeby połechtać kierowniczkę.

– Wiesz pan ja studiowałem żywienie w Warszawie, no tak było. Ale jak strajki się zaczęły i na uczelniach, to mnie wyrzucili.

– A... pan internowany? – spytałem.

– Nie, ulotki nosiłem i wywalili.

– To pan też jakieś dodatki dostaniesz, bo takim teraz wypłacają.

– Gdzie tam, za to nic nie mam. Proszę pana, najlepiej mieli tacy, co się przefarbowali. Jeden taki w miasteczku niedaleko kupił za niewielką sumę cukrownię, interes upadł, a on sprzedał drogo ten majątek. No tak się interesy robi, panie, tanio kupić drogo sprzedać, a po co pracować?

Nic nie odrzekłem, mając w oczach polską „piestrojkę” i hasła: „biednyś boś głupi, głupiś boś biedny”. Jeden to mi opowiadał, że poszedł do pracy i miejscowy koryfeusz kapitalizmu zapłacił mu połowę, mówiąc „po co ci tyle pieniędzy”? I przez to wyjechał z pięknego kraju przywiślańskiego. Widziałem tabuny nowych *menagerów* od papieru toaletowego (*pardon* nie mam nic do papieru), cudownie rozmnożonych jak zające na

czarodziejskiej łące z ofertą umów śmieciowych, darmowymi okresami próbnymi, politykierów wysyłających za granicę na wieczne wygnanie kilka milionów ludzi w okresie rozrodczym. I ja byłem bliski wyjazdu, ale nie dopchałem się taki był ścisk. A dziś? Dają pieniądze, panie, wołają „wróć”. Teraz taki, co wyjechał to pan, a ty: frajer, kombinator, nieudacznik.

– A wiesz pan, że u nas to Żydzi rządzą?

Sala przycichła.

Nic nie odrzekłem na takie *dictum*. Słuchałem tylko, ale zezując dostrzegłem badawcze spojrzenia spod buchających parą talerzy. Posiłek dobiegł końca. Nacisnąłem czapkę na głowę i bąknąłem do widzenia. Moje wyjście z lokalu obserwowało kilka par oczu studiujących uważnie mą twarz. Jegomość pozostał, dojadając swoją porcję. „Może je tylko raz, dwa razy dziennie?” – pomyślałem, wyglądał na zabiedzonego. Wyszedłem szybko na zewnątrz, zanurzając się w mrok listopadowego wieczoru i skierowałem się w stronę ulicy Berka Joselewicza. Wiało i padało panie kochany, jak to w listopadzie.

JULIA MAGDZIAK

Niech
będzie,
kim chce,
ale...

Tolerancja.

Dużo się o niej mówi, prawda? Tolerancja dla odmienności, tolerancja dla ras, nawyków, chorób... seksualności. Tolerancja jest podobno równoznaczna akceptacji inności; zaczęto głośno mówić o niej już kilka wieków temu i dziś także stanowi jedno z głównych haseł społecznych.

Właśnie, HASEŁ. Jak łatwo można zauważyć, nie zawsze słowo przekazywane z ust do ust obrazuje faktyczny stan rzeczy. Jeżeli ktoś powie, że jest tolerancyjny, że zgadza się na wszelkie „nowinki” społeczne oraz potrafi żyć z nimi bez przeszkód, czy zawsze mówi prawdę? A może to tylko zwykły frazes, pewna słowna moda, za którą podążamy?

Bo przepraszam, ale naprawdę nie rozumiem tego fenomenu – jak ktoś może powiedzieć, że rozumie odmienność, a jednocześnie przeczy sam sobie własnym zachowaniem? Jest na to właściwe określenie – hipokryzja.

Miałam okazję przekonać się o niej na własnej skórze.

Jestem młodą osobą, obcującą z internetem każdego dnia. Media społecznościowe nie stanowią dla mnie

żadnej tajemnicy, co znaczy, że nie obce są mi również wszelkie – jak określiłoby to nieco starsze pokolenie – „wymysły młodych”. Jednym z takich „wymysłów” jest temat seksualności i postaw wobec niej. Społeczność LGBTQ+ nie istnieje od kilku lat ani nawet od początku dwudziestego pierwszego wieku. Ona istnieje od zawsze, tylko nikt tego nie widział. Bo i nie chciano tego widzieć i by to widziano. Przedstawiciele LGBTQ+ zwykle byli postrzegani jako ci „inni”, często widziani też jako prawdziwe zagrożenie, jak nosiciele jakiś wydumanych chorób wenerycznych, których nazwy zawsze przekręcano.

Wracając jednak do tolerancji i hipokryzji.

Jak wspomniałam, jestem młodą osobą, dorabiam sobie jako kelnerka. Pracuję w niewielkiej mieścinie, w klimatycznym zajezdzie połączonym z hotelem, w którym odbywają się najróżniejsze uroczystości – od hucznych wesel po komunie i chrzciny. W okresie letnim jednak często zdarza się, że teren zarezerwowany jest wyłącznie dla dziecięcych obozów. Przyjeżdżają do nas przeważnie uczniowie w wieku nastoletnim, a więc są to już osoby, które powoli zaczynają poznawać własną tożsamość społeczną.

Oprócz mnie w zajezdzie pracują oczywiście inni kelnerzy, a także kucharze, sprzątaczk i stróżowie;

szeroki wachlarz pokoleniowy, skupiony na różnych wartościach oraz poglądach. Część personelu stanowią kobiety, a jak wiadomo wszystkie kobiety łączy jednak jedna rzecz – zamięłowanie do plotek. Może brzmi to teraz bardzo stereotypowo, ale naprawdę, przecież większość kobiet uwielbia rozmawiać. Udowodniono naukowo, że płeć żeńska mówi zdecydowanie więcej niż płeć męska. I to widać. Choćby też po tym, że nasi mężczyźni zwykle tylko słuchają.

Jeśli wszyscy mamy chwilę wolnego czasu, często kompletnie nieświadomie zbieramy się w kuchni i rozmawiamy. Przyznam się, że zazwyczaj nie mam pojęcia, o czym, albo o kim mówią starsi koledzy. Kontekst jednak jest zwykle dla mnie najmniej ważny, chodzi po prostu o to, aby czas jak najszybciej i najmniej zleciał.

Pomiędzy tymi wszystkimi tematami, często niewynikającymi z siebie, pewnego dnia zaczęliśmy rozmawiać o tolerancji. Jak zwykle siedziałam gdzieś w wygodnym kąciку, z kubkiem herbaty w dłoniach i przysłuchiwałam się, co też reszta personelu miała do powiedzenia na temat LGBTQ+ (bo i często słowo „tolerancja” równoważy się z tym zagadnieniem, jest jego synonimem). Słyszałam wiele głosów:

– Dzieci kocha się takie, jakie są.

– Jeśli czują, że są inni, nikt nie ma prawa ich zmieniać.

– Żyjemy w demokratycznym kraju i powinniśmy być tolerancyjni.

Jedna z kelnerek, o wiele starsza ode mnie dodała:

– To już się dzieje i tego nie zmienimy. Niech sobie będą, kim chcą.

Byłam tego samego zdania. Widziałam natomiast w jej oczach, że chciała jeszcze coś dodać, ale się powstrzymała.

O dziwo wywołaliśmy wilka z lasu. Zaledwie dwa dni później, gdy rozpoczął się kolejny turnus z nową grupą dzieci, jedno z nich wyróżniało się na tle pozostałych. Nie było mnie wtedy w pracy, więc o wszystkim dowiedziałam się z ust personelu. Żadna z kucharek ani kelnerek nie potrafiła określić płci tej osoby. Rysy twarzy miała dziewczęce, ale włosy i ubiór wskazywały na chłopca. Nie robiłyśmy z tego jednak większej sensacji, ponieważ nastolatki w okresie dojrzewania często wyglądają myląco. Zwłaszcza w wieku trzynastu, czternastu i piętnastu lat. Co więcej styl także potrafi być u nich różny – kolorowe włosy, kolczyki, gotyckie dodatki, szerokie ubrania, upodabnianie się do postaci z kreskówek, seriali czy anime. Jak już wspomniałam, w wieku dojrzewania dzieci zaczynają

poznawać swoją tożsamość, więc wszystkie oryginalne pomysły traktuje się z przymrużeniem oka, z mantrą na ustach „wyrośnie z tego”.

A czy można wyrosnąć z własnej seksualności?

Przyznam się jednak, że gdy wchodziłam na salę i pytałam o dodatkowe porcje albo sprawdzałam, czy wszystko w porządku, miałam problem ze stolikiem, przy którym siedziała ta „niezidentyfikowana” osoba. Dopiero od nauczycieli prowadzących turnus dowiedziałam się prawdy. Miałam do czynienia z dziewczynką o imieniu Weronika. Podziękowałam za odpowiedź i już zamierałam odejść, ale nagle jedna z organizatorek rzuciła:

– Niech pani zaczeka!

– Tak? – odpowiedziałam grzecznie.

– Chciałabym pani jeszcze coś powiedzieć. Wiem, że Weronika wygląda na chłopca, ale tu nie chodzi tylko o styl. Weronika określa się jako osoba niebinarna.

Otworzyłam szerzej oczy.

– Niebinarna? – powtórzyłam tępo.

Nauczycielka chciała wyjaśniać mi znaczenie tego słowa, ale szybko ją powstrzymałam. Dobrze wiedziałam, o co chodziło. Weronika nie identyfikowała się z żadną płcią. Nie była ani chłopcem, ani dziewczynką,

była kimś pomiędzy, kimś kto balansuje na krawędzi dwóch kategorii.

– Nie lubi, gdy ktoś zwraca się do niej „ona” – wyjaśniła organizatorka.

Na chwilę przestałam myśleć i stanęłam, jak wryta. Nim jednak zdążyłam zapytać o cokolwiek, nauczycielka odeszła, ponieważ zbliżała się godzina zajęć. Ja natomiast wróciłam do swoich zajęć, ale nie minęła chwila, gdy zleciał się przy mnie niemal cały personel, który widział moją rozmowę z opiekunką, ciekawi tego, czego się dowiedziałam.

– No i co ci powiedziała? To chłopiec czy dziewczyna?

Poczułam się jak na sali poporodowej albo korytarzu szpitalnym, na którym miałam przekazać rodzinie informacje o nowonarodzonym dziecku.

– Emm... ani to, ani to – odpowiedziałam, wzruszając ramionami.

– Jak to ani to, ani to? – powtórzono za mną. – Przecież nie ma innej opcji.

– W dokumentach stoi, że jest dziewczyną, ale ona sama określa się jako niebinarna – wyjaśniłam, drapiąc się po głowie.

– Niebinarna? – usłyszałam. – To co, raz jest taka a raz taka?

– Na to wychodzi – potwierdziłam.

Wszyscy popatrzyli na siebie w zdziwieniu, bym po chwili stała się obserwatorem błyskawicznego zdzierania maski z twarzy:

– Co to za cuda na kiju?

– Ja w ogóle mówić do takiego kogoś? Nie powiesz ani „ona”, ani „on”. „Ono” brzmi jak do psa.

– Naogłada się to to tych wszystkich głupot i potem cuduje takie rzeczy.

Zdębiałam. Nie wierzyłam własnym uszom. Przecież jeszcze kilka dni temu rozmawiałam z tymi samymi osobami i słyszałam o ich tolerancyjnym podejściu do ludzi. Co się zmieniło? Gdzie nagle zaszła zmiana? Jeśli mówiły, że akceptują odmienności, chyba powinny to jakoś okazać. I wtedy usłyszałam odpowiedź:

– Ja rozumiem geje, lesbijki, ale niebinarny? Co to w ogóle jest?

A więc tu tkwił problem. Personel zajazdu, przeważnie w średnim wieku, znał społeczność LGBTQ+ tylko w okrojonej wersji. Utożsamiał ją tylko z tym, co było najbardziej popularne, co sam wielokrotnie widział i słyszał. Z tym, czego dowiedział się z seriali albo tych paradokumentów pokroju *Ukrytej prawdy*. Mimo „obeznania” w temacie odmienności płciowej, wciąż wiedział niewiele.

Omiotłam współpracowników spojrzeniem jeszcze bardziej zdziwionym niż dotychczas, a potem bez słowa wróciłam do swoich obowiązków. Nie chciałam wchodzić z nimi w dyskusję, ja byłam jedna, ich znacznie więcej. Co ważniejsze, zbliżała się już godzina obiadu.

Podczas posiłku mój wzrok mimowolnie skupiał się na Weronice. Krótkie włosy i chłopięcy ubiór naprawdę kontrastował dość mocno z delikatnym głosem oraz pomalowanymi masakrą rzęsami. Z daleka dało się jednak zauważyć, że jest to osoba bardzo pewna siebie, żeby nie powiedzieć „wyszczekana”. Rozmowa z rówieśnikami przerywała czasami tak zwaną szpilą, którą wbijała swoim koleżankom i kolegom. Żadne z nich jednak nie czuło się urażone. Wiedzieli, że jedynie żartuje. Przecież dzisiaj wielu nastolatków zwraca się do siebie w dość brutalny sposób, ale nie ma na myśli nic złego. To jedynie coś na w rodzaju młodzieżowego slangu, który z boku brzmi jak zwykłe bluzgi.

Nie kontrolując swojego niezdrowego spojrzenia, po jakimś czasie jedna z dziewczynek zwróciła na mnie uwagę i przekazała to Weronice. Nim odwróciła głowę w moją stronę, szybko spuściłam wzrok, a potem zajęłam się brudnymi talerzami, które miałam zanieść do zlewu. Zbeształam się w myślach za to gapienie się.

Przecież Weronika mogłaby pomyśleć, że traktuję ją jak jakieś dziwadło, co oczywiście nie było prawdą. Fakt, że w tak małej miejscinie, w której mieszkałam i pracowałam, nie widywałam osób niebinarnych każdego dnia, więc było to nie lada wydarzeniem, ale nie zamierzałam przecież traktować jej jako taniej atrakcji.

Gdy wszystkie dzieci opuściły już jadalnię, zaczęłam wycierać stoliki a potem zamiatać podłogę. Robiłam to ze słuchawkami na uszach, więc nie słyszałam, gdy nagle tuż za mną pojawiła się Weronika. Dopiero gdy zauważyłam jej buty na podłodze, uniosłam wzrok i wyłączyłam muzykę. Przyznam szczerze, że wiedziałam, po co do mnie przyszła, ale z drugiej strony nie chciałam z nią rozmawiać.

Przed wszystkim nie wiedziałam, jak powinnam się do niej zwrócić.

Weronika zmierzyła mnie spojrzeniem, wcisnęła dłoń w kieszenie szerokich spodenek i z uśmiechem rzuciła:

– Pani wie.

Przełknęłam ślinę a potem odetchnęłam ciężko.

– Zresztą, trudno nie zauważyć – wzruszyła ramionami. – Widziałam, jak się pani na mnie patrzyła.

– Wiesz, to nie tak, że się patrzyłam, bo wydajesz mi się dziwna – odparłam szybciej, niż dążyłam pomy-

śleć. – I tak, wiem o tym, że jesteś niebinarna... ny...?
Organizatorka mi powiedziała.

– No i co pani na to?

Zastanowiłam się nad jej... jego... pytaniem tej osoby.

– Jak już mówiłam, nie uważam cię za osobę dziwną. Uważam natomiast, że nie ma w tym niczego złego czy wstydliwego, jesteś tak... jesteś taką osobą, którą się czujesz i mnie nic do tego. Chciałabym tylko wiedzieć, jak powinnam się do ciebie zwracać, gdyby coś się stało. Zresztą sama słyszysz, jaki mam problem z odmianą.

Weronika uniosła brwi, a po chwili zaśmiała się cicho pod nosem. W jej oczach zobaczyłam prawdziwe rozbawienie i chyba też coś w rodzaju wdzięczności.

– Szczerze nie sądziłem, że ktokolwiek aż tak przejmie się tu moim przypadkiem – powiedziała. – Nawet część nauczycieli nie chce spróbować mnie zrozumieć. Powiedzieli mi, że w zgłoszeniu miałam na imię Weronika, więc oni nie zamierzają głowić się nad odmianą.

Zrobiło mi się jej żal. Czy naprawdę aż tak ciężko zrozumieć odmiennosć? Czy to jest coś, czego nie potrafi pojąć nasz dobrze rozwinięty mózg? Gdzie ewolucja popełniła błąd?

– Tak naprawdę to wolałbym, żeby zwracano się do mnie jak do chłopaka – wyjaśniła Weronika.

Skrzywiłam spojrzenie.

– Myślałam, że osoby niebinarne wolą, gdy mówi się do nich „osoba” – stwierdziłam.

Weronika zmieszała się, więc błyskawicznie cofnęłam słowa:

– Ale jeżeli wolisz zwrot „on” to nie ma...

– Ja nie do końca jestem niebinarny – wyjawiała.

Teraz to już kompletnie nic nie rozumiałam. Musiałam odłożyć na chwilę miotłę, by dobrze zrozumieć całą sytuację.

Weronika westchnęła.

– Tak naprawdę to ja czuję się bardziej chłopcem, niż dziewczyną, a ta cała niebinarność to raczej tylko taki etap przejściowy – wyjaśniła. – Zdarzają się dni, kiedy lubię robić coś dziewczęcego, ale zwykle wolę wszystko to, co jest dla chłopaków. Pokręcone to, wiem.

– Może trochę, ale nie mnie oceniać – odparowałam.

– I będę chłopcem, jestem już na terapii hormonalnej.

– To świetnie. Ale zaraz, skoro są już dowody medyczne na to, że zmieniasz płeć, dlaczego opiekunowie nie chcą traktować cię jak chłopca?

– Bo są już w takim wieku, w którym nie rozumie się... wie pani, tych spod tęczy.

– To się nazywa homofobia.

– I co zrobić? Karmią ich wszystkich tymi informacjami z dziesiątej ręki i politycznej telewizji jacy to jesteśmy źli, jakbyśmy zamierzali rozpętać wojnę światową.

– A mówią, że to młodzi za dużo siedzą „w internecie”.

Weronika kiwnęła tylko głową, podziękowała za rozmowę i tak po prostu wyszła.

Wciąż nie rozgryzłam dlaczego organizatorka nie wiedziała, że Weronika jest transseksualna a nie niebi-narna. Pomyliła te pojęcia, czy sama także nie знаła prawdy? A może dziewczyna... znaczy chłopiec bał się przyznać do transseksualizmu, bo często uchodzi to za zboczenie? Nie wiem, nie zamierzałam też drażnić tego tematu. To była jej sprawa, a ja i tak już dość mocno wykroczyłam poza swoje obowiązki. Cieszyłam się, że mogłam mu w tym choć minimalnie pomóc.

Cokolwiek postanowi zrobić, życzę mu jak najlepiej.

Gdy zamiotłam już podłogę i wróciłam do kuchni, zaczęła mnie starsza kelnerka. Ta sama, która była z nami tamtego dnia, gdy rozmawialiśmy o tolerancji.

– Co się stało? Coś było nie tak?

– Nie, nie – zaprzeczyłam z uśmiechem. – To on mnie zaczepił. Rozmawiał ze mną o tym, kim jest. Nie prosiłam go o nic, sam mi powiedział.

– On? – powtórzyła, krzywiąc spojrzenie. – Ale to przecież jest...

– ... dziewczyna, ale prosiła, żeby zwracać się do niej jak do chłopca – dokończyłam.

Im dłużej mówiłam, tym kelnerka mocniej marszczyła czoło. W końcu spojrzała się na mnie pobłaźliwie, rzucając:

– Dziewczyno, ona się wygłupia, a ty pozwalasz wodzić się za nos.

– Nie wydaje mi się, by próbował mnie oszukać.

– Jakby tak wszyscy mówili prawdę to świat byłby sto razy lepszy. Ja nie zamierzam robić dla niej wyjątku. Jest dziewczynką i koniec.

– Zawsze może się pani przecież pomylić z kimś innym. Ubiera się jak chłopiec.

– O nie, teraz to ja jej już na pewno nie pomyłę.

Westchnęłam ciężko. Po tych dość ostrych słowach przypomniałam sobie, co kelnerka mówiła w pamiętny dzień naszej rozmowy o tolerancji.

„To już się dzieje i tego nie zmienimy. Niech sobie będą, kim chcą.”

Pamiętam, że brała później oddech, chciała coś powiedzieć. Sama dokończyłam jej wywód w myślach:

„Ale ja nie zamierzam się w to mieszać.”

Przykre.

Chciałam być wyrozumiała i taka zostałam, ale niestety, ciężko jest mieć własne poglądy, gdy większość myśli jak jeden przeciwny tobie mózg. Nie powiedziałam oczywiście nikomu o tym, że Weronika jest transseksualna, bo dobrze wiedziałam, że taka „odmienność” często jest postrzegana jeszcze gorzej niż niebinarność.

Niebinarność jest dziwna, a transseksualność zбочona.

Wynioskowałam z tego dnia jedno: jest tolerancja prawdziwa i tolerancja „pod publiczke”. Ta druga, tak samo jak temat LGBTQ+, to pewna formą mody, której chętnie się poddajemy. Może wynika to z powszechnej chęci powielania zachowań innych członków społeczeństwa, albo z wewnętrznego przyzwyczajenia do myślenia w podobny sposób jak inni. Bo przecież współczesny człowiek powinien być tolerancyjny.

Szkoda tylko, że linczuje się tych, którzy faktycznie tacy są.

ARTUR ZIONTEK

Posłowie

Polonista chcący wejść na niwę literacką nie ma, wbrew pozorom, ułatwionego zadania. Przechodzi z roli tego, który objaśnia utwór, do roli twórcy, którego tekst będzie analizowany przez innych. Następuje zmiana pozycji z profesjonalnego czytelnika, do literata debiutanta. Z jednej strony taki autor zna narzędzia, którymi posługuje się w swojej pracy, ma wyczulony słuch językowy, może większą wrażliwość estetyczną, ale ów bagaż profesjonalnych doświadczeń zamiast pomocą stać się może balastem. Pisanie z nieustającą świadomością istnienia czytelnika, pytania: czy to zrozumie?, czy to do niego trafi? i najgorsze z możliwych – czy mu się spodoba?, potrafią paraliżująco obezwładniać. Przenosić uwagę z zainteresowania bohaterem, fabułą i jego otoczeniem, na rzecz uciążliwie siedzącego w głowie czytelnika sprowadzającego na twórcze manowce. Może to czasami przybierać charakter schizofrenicznej dysputy, ale warto ją prowadzić i warto pogonić głos nakazujący analizować tekst jeszcze przed jego powstaniem. Nie znaczy to oczywiście, iż czytelnik jest nieistotny. Jest ważny! Jeśli w końcu decydujemy się na pisanie prozy, to z tym zamierzeniem, że ktoś ja kiedyś weźmie do ręki i zasiądzie do lektury. Priorytetem jednak jest, aby autor pozostawał w zgodzie z samym sobą, nie dał się zwieść konformizmowi

kastrującym jego głos, wypowiedź, ideę... Coś, co podoba się Jankowi, może nie podobać się Zuzi, jeśli więc będziemy balansować by znaleźć dla tej dwójki wspólny mianownik, to zarzucimy własny koncept, na rzecz mało spójnego złotego środka, który nie istnieje. Pozostańmy wierni sobie, a w ostatecznej redakcji tekstu postarajmy się tak go obudować (świat, bliższe i dalsze otoczenie bohatera, akcja), aby czytelnikowi ułatwić rozpoznanie naszych intencji. Inaczej rzecz się ma w literaturze gatunkowej, ale to już co innego.

Utwory składające się na ten, niewielki objętościowo, tomik wychodzą właśnie spod piór/klawiatur adeptów polonistyki, mniej lub bardziej młodych życiem, ale świeżych duchem i spojrzeniem na świat oraz otaczającą nas, jako ludzi, rzeczywistość. Patrzymy na to okiem pięciorga bohaterów. Jest bezdomny mieszkający w kolejowym wagonie razem ze skazanymi na to kompanami, jest kierowca mikrobusu zaprzeczający swym żywotem stereotypom dotyczącym obranego zawodu, jest także dziewczynka, której lukrowany świat rodzinny legnie w gruzach pod złym dotykiem ojca, jest również siedlecki peregrynant hrabalowsko mierzący się z życiem, jest w końcu dorabiająca jako kelnerka młoda dziewczyna doświadczająca zupełnie przypadkiem paradoksu (nie)tolerancji. Właściwie każdy z bohaterów przynależy do innej grupy społecznej, dotyka innych aspektów kodu kulturowego

współczesności, ale wpisuje swe rozważania/doświadczenia w bolesne uniwersum egzystencjalne.

W czterech z pięciu przypadków postawiony jest problem, który staje się udziałem bohaterów, choć może bezwiednie. Na pewno jest to problem ważki dla czytelnika, bo też jeśli sami czegoś nie doświadczamy bezpośrednio zatracamy świadomość, a przynajmniej pamięć o jego istnieniu. O tym, że dotyka innych, tych, którzy żyją obok nas.

W toku lektury mierzyć się więc będziemy musieli z nazbyt pochopnymi stereotypami i kliszami, którymi z łatwością patrzymy na świat.

Trudno wyzbąć się przeświadczenia, że te klisze bywają tu nieco przerysowane, ale hiperbolizacja – często spotykana we współczesnym dyskursie społecznym (nie wspominając o politycznym) – pozwala może łatwiej w tym kontekście dostrzec sedno przekazu. Choć, mimo wszystko, gdy narrator przechodzi do rozważań społecznych i używa kategoriycznych sformułowań „zawsze” i „nigdy” może się to wydać nad miarę wyostnione. Fakt, że niekiedy trudno się tego wyzbąć, nawet jeśli intencje są inne. Pamiętam spotkanie autorskie z pewnym pisarzem (autorem kilkudziesięciu książek) na targach książki w Warszawie, który przestrzegał przed nachalnym umieszczaniem w powieściach zbyt wielu tematów nawiązujących do aktualnych dyskusji społecznych, nawet jeśli są one wg autora palące. Całe jego wystąpienie było interesujące i mądre. Zakupiłem

więc jego najnowsza powieść pod czarownym tytułem i okazało się, że na pierwszych kilkunastu stronach zrobił dokładnie to, przed czym przestrzegał. Jak widać, rosyjskie powiedzenie, mówiące, iż „praktyka je-
biot teorii” jest niezmiennie aktualne.

Po lekturze obszernej powieści o czarownym tytule pozostaje wrażenie – wcale nie proustowskie – straconego czasu. Lektura tego tomiku dostarcza wielu więcej bodźców i poszturchiwań. Zostaje na dłużej...

Artur Ziontek
marzec 2023 r.